

Śmierć w węgrowskim areszcie, dr Jan Harusewicz demaskuje szarlatanów,
najświeższe wiadomości z okolic Nura, o buźnych flisakach,
proboszcz z Brańszczyka przeciwko rządowi

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelań.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie:

Powrót flisaków, podług akwareli Juliusza Kossaka¹.

Z Węgrowa donoszą o tajemniczym zgonie w tamtejszym areszcie podejrzanego o puszczanie w obieg fałszywych papierów wartościowych, znaczy się oryginalnych bezwartościowych. Jedni uważają, że to sprawka jego kamratów, chcących zamknąć usta koleżce, inni zaś stoją na stanowisku, że powodem śmiertelnego zejścia są skandaliczne, niegodne drugiej połowy XIX w. warunki panujące w węgrowskim areszcie śledczym.

Urodzony w Łomży dr Jan Harusewicz, lekarz, działacz patriotyczny, bohater ziemi ostrowskiej, poseł do Dumy i Sejmu, wnet po ukończeniu studiów medycznych przyjął posadę lekarza powiatowego w Ostrowi. Był także utalentowanym publicystą, a swe listy i artykuły publikował w różnych periodykach m.in. pod pseudonimem Jerzy Wrewicz. W zamieszczonym poniżej liście pokpiwa z pędu swych bliźnich do niby-nowinek i pseudonauki – pędu niepopartego choćby najdrobniejszym wysiłkiem w postaci lektury. Wykorzystując tę ludzką przywarę, przeróżni szarlatani nawiedzają miasta prowincjonalne tabunami, proponując cudowne specyfiki i ultranowoczesne metody leczenia, zdobywając poklask i uznanie „głównie dam z towarzystwa”.

Pan Mieczysław Sierota z Kałęczyna donosi ogólnokrajowej, spragnionej informacji z okolic Nura publiczności, iż: z przyszłorocznymi zbiorami może być kiepsko; w gminie mniej piją, ale tylko ciut mniej; młyn pana Uścińskiego praktycznie nie działa; pierwszy śnieg spadł 28 października.

O flisach, czyli orylach napisano wiele, lecz informacji o tych spływających z nurtem Buga ludziach, nie ma w nadmiarze. Lukę tę próbuje skutecznie wypełnić dżentelmen podpisujący się inicjałami A. T.

Wielokrotnie donosiliśmy o napiętych stosunkach panujących między duchowieństwem a sanacyjnym rządem. Wojewoda białostocki donosi stosownym czynnikom, iż jednym z najaktywniejszych reprezentantów kleru występujących przeciwko władzom jest nieprzebierający w słowach ks. Wacław Wacławski, proboszcz z Brańszczyka.

Bardzo przepraszamy panią Ilonę, ale dopiero teraz odkopaliśmy jej pochodzący sprzed roku list. Pani ta wzięła wówczas udział w ogólnopolskiej akcji nazywanej „Narodowym czytaniem”. Tamtym razem czytanie polegało na recytacji dzieł naszego wielkiego poety Jana Kochanowskiego. W akcji wzięły również aktywny udział dzieci i młodzież. Najmłodsi czytali całkiem sprawnie, tyle że pani Ilona odniosła wrażenie, że owszem czytają, ale nie do końca ze zrozumieniem, młodzież zaś sprawiała wrażenie wybitnie zniechęconej, znużonej i to pomimo prezentowanego na zewnątrz entuzjazmu.

¹ „Kłosy”, nr 534 z 23 września 1875 r., s. 201.

Pani Ilona zastanawia się, jak ktoś mógł wpaść na pomysł, aby młodych ludzi zachęcić do czytania książek, recytacją dzieł zmarłego przed wiekami poety. Owszem, był Jan Kochanowski wielki i dzieła tworzył wspaniałe, ale niekoniecznie skierowane do najmłodszych. Zapewne i dzisiaj niektóre jego wielce pikantne fraszki zostałyby przyjęte z wielkim zainteresowaniem, ale mogłyby wynikać pewne wątpliwości co do publicznej recytacji podobnych dzieł przed jedenastą w nocy.

Naturalnie, wszyscy wiedzą, że jest prawda życia i prawa ekranu. Cała akcja była więc przedstawiona w mediach jako gigantyczny sukces, ale w rzeczywistości była to kosmiczna porażka. Jej dziesięcioletnia córka i dwunastoletni synek czytają wprawdzie sporo, ale są to opowieści o: jakiejś agencji detektywistycznej, niejakiej Matyldzie, (jeżeli się pani Ilona nie myli w pisowni) Hobbicie i takie tam różne. Nasza czytelniczka zdaje sobie sprawę, że jeżeli zabralaby swym dzieciom wszystkie ich ulubione lektury, a poleciła czytanie dzieł Kochanowskiego, Szekspira, Joyce'a itp., to oczywiście byłoby to wielce wskazane, ale dzieci wolałyby się bawić na osiedlowym trzepaku... tyle że osiedlowych trzepaków już nie ma.

To podobnie jak z zajęciami z wychowania fizycznego. Od lat „mądre” głowy twierdzą, że w ogólnym rozwoju fizycznym dziecka i w zwalczaniu otyłości pomogą zajęcia takie, jak: skakanie przez kozła, ganiecie w kółko na czas, czy rzucanie młotkiem albo dzidą. Właśnie ta szkolna strategia spowodowała, że pani Ilona czuje do dzisiaj wstręt, do sportowych aktywności. Pani Ilona wychodzi ze słusznego poniekąd założenia, że jej latorośl raczej już nigdy nie będzie musiała polować na mamuty, więc po cóż ma kształcić się w machaniu dzidą, a tym bardziej w rzucaniu kulą albo młotkiem. To samo dotyczy biegania w kółko. Owszem, gdyby jej dziecko zirytowało w lesie dzika, to należałoby uciekać, kluczyć, chować się za drzewa, a nawet wejść na nie, ale w żadnym wypadku nie biegać w kółko. Ona sama nigdy nie czuła apetytu na współzawodnictwo, zatem miała w szczerym poważaniu, czy jej koleżanka skoczy dwadzieścia centymetrów wyżej, lub nawet 2 metry dalej.

Były też inne szkolne zajęcia, na których wspomnienie dostaje Pani Ilona gęsiej skórki. Jej nauczyciel muzyki i dyrektor szkoły mieli bzika na punkcie śpiewu chóralnego. Podobno nieźle świergoili, ale proponowany repertuar śmiertelnie ją nudził. Był bowiem nad wyraz słuszny, czyli opierający się na pieśniach ludowych oraz przedpotopowych ariach. Ze strachem więc pilnowała, aby gdzieś w budynku szkolnym nie wpaść na muzyka lub dyrektora, usilnie ją namawiających do udziału w chóralnych zajęciach. Jej dzieci nucą różne piosnki, ale są to zawsze aktualne, modne kawałki, nigdy zaś podniosłe, wielce słuszne utwory. Jeżeli ktoś pragnie, aby dzieci śpiewały, to należy dać im swobodę, nie zaś narzucać im repertuar i odziewać w wytworne, a zawsze groteskowe suknie i fraki. Ktoś się urodził z muzycznym talentem albo się z takim nie urodził, robienie zaś z beztalencia artysty, owocuje tylko stworzeniem złośliwego frustrata. Pani Ilona zdaje sobie sprawę, że choćby ona i szkolny nauczyciel stanęli na głowie, to nie zrobią z jej pociech Amadeusza Mozarta, a owocem takich zabiegów może być, co najwyżej sfrustrowany i mściwy Antonio Salieri².



² Co znakomicie ukazano w filmie [Amadeus](#).

KORESPONDENCJA GAZETY SĄDOWEJ

Krajowa

Węgrów, d. 16 stycznia 1879 r.

W naszym miasteczku obecnie wiele mówią o miejscowym areszcie i o śmierci w takowym jednego z aresztantów, niejakiego Grzywacza. Twierdzą jedni, że ów Grzywacz umarł skutkiem głodu i chłodu, a drudzy, że mógł być otruty. Lecz, co rzeczywiście było przyczyną jego śmierci, stanowczo powiedzieć nie można, gdyż zarządzone w tym celu śledztwo nic jeszcze nie wykryło, wnętrzności zaś denata, po sekcji zostały wysłane do stosownego zbadania.

Grzywacz, o którym mowa, był zamknięty w areszcie od kilku miesięcy jako podejrzany o puszczanie w obieg fałszywych 25-rublowych asygnat, których w naszym powiecie wykryto bardzo wiele – tak dalece, że nawet kilku oskarżonych o fałszowanie papierów kredytowych pozostaje w domu badań siedleckim, oczekując na wyrok. Otóż przypuszczają, że niektórzy ze złoczyńców pozostających na wolności, obawiając się, aby Grzywacz nie wyjawiał ich winy, postanowili zgładzić go z tego świata przez otrucie.

Co się tyczy drugiego przypuszczenia, że śmierć Grzywacza nastąpiła skutkiem głodu i chłodu, to takowe też nie jest bezzasadne. Dostatecznym będzie określić stan, w jakim znajduje się areszt miejscowy. Areszt ten mieści się w części domu, przeznaczonego od dwóch lat do rozwalenia jako grożącego niebezpieczeństwem. Wstrzymanie rozbiórki ma miejsce z powodu pomieszczenia w nim aresztu, jedynego w mieście. Cały ten areszt składa z jednego pokoju o jednym oknie bez szyb, ale okratowanym. Pokój ten z zapadłymi ścianami i z zepsutym dachem dzieli się na dwa oddziały – dla płci słabej i dla płci silnej. Z powodu braku szyb i złego stanu ścian chłód i deszcz ze wszech stron mają przystęp swobodny i są nieodstępnymi towarzyszami nieszczęśliwych więźniów.

Co się tyczy głodu, to takowy też towarzyszy tym więźniom. Pobierane bowiem przez nich 15 groszy³ dziennie na osobę, przy teraźniejszych cenach, nie może być uważane za dostateczne do wyżywienia. Nic więc dziwnego, że więźniowie, przy takich warunkach – gdy z zewnątrz dokucza chłód i wilgoć i gdy nie mają za co kupić gorącej stawy, mogą chorować, a przy dłuższym przebywaniu w takim areszcie, jak ów Grzywacz umierać.

Dla uwięzionego w tym areszcie, jakiego z miejscowych mieszkańców, takowy jeszcze nie jest tak strasznym, bo zawsze znajdzie się ktoś z jego rodziny lub przyjaciół, który dostarczy łyżkę ciepłej stawy. Ale jakież jest położenie uwięzionych, którzy są z dalszych stron, którzy nie mają nikogo, kto by pomyślał nad ich niedolą, niekiedy przez kilka trwającą miesięcy.

Istnieje towarzystwo opieki nad zwierzętami, u nas jednak należałoby przede wszystkim utworzyć towarzystwo opieki nad miejscowymi aresztantami.

³ W „Kurierze Warszawskim”, nr 8 z 11 stycznia 1879 r. ukazał się anons pewnej warszawskiej jadłodajni, powiadamiający szanowną publiczność, że obiad można zjeść tam bardzo tanio, bo za 25 kopiejek, w abonamencie zaś za 22½ kopiejki. W przeliczeniu na grosze wynosiło to odpowiednio 50 i 45 groszy [przyp. aut. opracowania].

Miejscowy sędzia pokoju pomimo swych usilnych starań o polepszenie bytu aresztantów, nie osiągnął jeszcze zamierzonego celu, a tymczasem niejednokrotnie zmuszonym bywa, powodując się słuszością, zamiast kary aresztu, skazywać na areszt domowy, w przeciwnym bowiem razie skazany oprócz ograniczenia wolności w miejscowym areszcie, musiałby cierpieć głód i chłód.

Nie można też powiedzieć, żeby i władza administracyjna była obojętną w tym względzie. Robiła bowiem przedstawienie do władzy wyższej, gubernialnej, lecz stamtąd odpowiadało, żeby odszukać odpowiednie pomieszczenia dla aresztu, nie przeznaczając jednak odpowiednich na ten cel funduszków.

Funduszków jednak nie brak. Z I-go okręgu sądowego guberni siedleckiej odesłano do banku 18.000 rubli na urządzenie miejsc zamknięcia. Są zatem i pieniądze, były starania, a nawet i rozporządzenia, a pomimo to aresztanci znajdują się w tak opłakanym stanie. Jeśliby koniecznie szukać przyczyny tego zjawiska, to zauważyć by można, że miejscowa władza administracyjna, dbając o odległą przyszłość miasta, zapomniała o koniecznych dzisiejszych potrzebach.

Jeden z obywateli miejscowych chciał zbudować dom, li tylko dla pomieszczenia aresztu ze wszystkimi dogodnościami, lecz władza administracyjna żądała ustąpienia łokcia [prawie 0,6 metra] ziemi dla rozszerzenia ulicy, na której obecnie znajdują się ruiny owego domu, w którym mieści się areszt i na której cały ruch polega na tym, że powroźnicy stawiają swe statki i kręcą powrozy, co jednak nie przeszkadza przejechać choćby w sześć koni. Ulica więc dosyć jest szeroką, ale władza administracyjna życzyła takową rozszerzyć, w skutek czego projekt powyższy zatwierdzony nie został.

[„Głos : tygodnik literacko-społeczno-polityczny”, nr 46 z 1890 r.]

Nie wiem, czy gdzie eksnauczyciel języka francuskiego, a dr. med. (jak się sam chwali), autor rozmaitych „grafomańskich” broszur, niejaki Czyński, cieszył się takim uznaniem głównie dam z towarzystwa, jak u nas. Damy te leczył rozmaitymi izmami, a nawet i alopatią przy pomocy pewnego usłużnego lekarza, znanego u nas powszechnie ze swej etyki, który podpisywał recepty tego pana. Doszło do tego, że p. Czyńskiemu kazano wyjechać, zabroniwszy poprzednio dalszych przedstawień magnetyczno-hipnotycznych.

Dziwny charakter umysłowości naszej. Nikomu nie chce się przeczytać ani jednej książeczki poważnie traktującej o tym przedmiocie, gdy przyjedzie zaś jakiś były kelner (tak było w roku zeszłym) i udaje uczonego, tłumnie okazują wówczas swoje zamiłowanie do nauki niby.

Jakiś Turek i w Łomży założył piekarnię, mającą niezłe powodzenie, prawdopodobnie dlatego, że nowa, a w dzień otwarcia sklepu i w następny, darmo rozrzucał chleb i bułki (uprzednio ogłosiwszy o tym na rogach ulic) pomiędzy zgromadzonych, głównie Żydów. Policja dla przywrócenia ruchu na ulicy, wdać się musiała w tę sprawę.

J. Wrewicz



Dr Harusewicz dość lekceważąco odnosi się do metod stosowanych przez Czesława Czyńskiego (1858-1932), jednego z najbardziej znanych na świecie okultystów. Podawał się za arystokratę (jak zwykle w takich przypadkach), a swą młodość spędził w Paryżu i to tam ponoć uległ fascynacji paranaukami ezoterycznymi. W początkach swej kariery odwiedzał liczne miasta Królestwa Polskiego (jak już wiemy także naszego regionu) organizując pokazy hipnozy i propagując związane z nią „rewelacyjne” metody lecznicze. Wy pływał na coraz szersze wody, a kilka lat po nawiedzeniu naszych okolic trafił do Monachium, gdzie z pomocą hipnozy miał uwieść niezwykle posażną baronównę Hedwig Zedlitz. Trzy lata więzienia nie przeszkodziły Czyńskiemu w kontynuowaniu swej ziemskiej kariery. Wstępując do mistycznego zakonu Martynistów, przyjął pseudonim Punar Bhawa i jako emisariusz tegoż zakonu przybył do Petersburga, znajdując licznych wyznawców, także na dworze carskim. Wciąż wywoływał skandale jednak bardziej natury erotycznej niż ezoterycznej. W początku lat trzydziestych został oskarżony przez polską prasę o satanizm i przyczynienie się do samobójstwa kilku młodych ludzi (w tym swego ucznia).

Źródło fotografii i niektórych informacji, rosyjskie pismo okultystyczne „Izida : żurnal okkultnych nauk” („Изида : журнал оккультных наук”), nr 10 z czerwca 1910 r.

Z NASZYCH OKOLIC

Z Nura (pow. ostrowski). Cieszyliśmy się nadzieją, że po deszczach październikowych powschodzą oziminy i trawy. Mimo jednak ślicznej pory, która nastąpiła po nich, pszenica przeszło miesiąc leżała w nader suchej ziemi, spróchniała doszczętnie, a ledwie trzecia część żyta weszła.

Po zaprowadzeniu monopolu pijaństwo mniej grasuje w naszej okolicy, chociaż i obecnie jeszcze z zapalem przyśpiewują do flaszki: „Zawitaj flacho nasza i kielichu miły, tak dawnom was nie widział, żeście mi się śniły. – Mój ty kielichu, mój ty zielony, co wywracasz na wsze strony i chłopcy i piony itd.

Wiatraków i młynów jest u nas co niemiara, jednakże gospodarze sami w domu mielą na chleb w żarnach. A na rzece Pukawce młyn zbudowany trzy lata temu i należący do p. Uścińskiego nie oddaje zbyt wielkich usług, ponieważ stoi w nieodpowiednim miejscu. Można go porównać do młyna na Zagrodziu z powieści Klemensa Junoszy (Pan Gamajda): „bez cały rok on stoi, bo jemu braknie wody, a jak na wiosnę przyjdzie woda, to un zmieli aż cztery garnce żyta!”. Rolnicy nasi bardzo wiele tracą, mieląc żyto u siebie, bo na suszenie wiele trzeba drzewa spalić i taniej wypada zwozić zboże do młyna, choćby oddalonego o wiorst parę.

Pierwszy śnieg spadł u nas w tym roku dnia 22-go zeszłego miesiąca o godz. 8-ej wieczorem.

Miecz. Sierota ze wsi Kałęczyna

OBRAZKI Z ŻYCIA FLISAKÓW

Przepływ tratw na Bugu

Ludzi, trudniących się spławem drzewa, mieszkańcy nadrzeczni nazywają orylami, lecz oni sami siebie – flisakami.

Taflą nazywa się 10-13 sztuk drzewa, czyli skrobanek^(I), zbitych poprzecznymi listwami w jedną całość. 8-10 takich tafli, szczepionych linami i grubym drutem, stanowi pas, a 3-4 połączone ze sobą na poprzek pasy, stanowią już całą tratwę^(II). Na każdym pasie w głowie i na końcu (na calu) umocowane są na silnych podstawach duże wiosła (drygawki), więc cała taka tratwa kierowana jest zwykle 8 wiosłami i wstrzymywana tyłuż szrykami, tj. długimi ok. 8 łokci, z twardego drzewa drągami, grubości 4-5 cali [ok. 10-12,5 cm] w przecięciu. Są jeszcze na każdej tratwie 2-3 otwory na szryki „jałowe” w samym środku długości tratwy. Tymi posługują się przy nagłych zakrętach rzeki, gdy tratwa półkołem musi płynąć.

Kilka lub kilkanaście tratw stanowi „kolej”, która zwykle należy do jednego kupca. Na rzece można poznać ilość kolei po ilości „skarbowek”, tj. porządných, budowanych z desek budek dla kasjerów, które to budki ozdobione chorągiewkami zawsze znajdują się na ostatniej tratwie w każdej kolei. Oryle mają budki mniejsze z łąt i słomy, 3-4 na tratwie. Ile jest drygawek, tylu musi być ludzi na tratwie. Więc kolej naprzód z 10 tratw złożona, ma najmniej 80 oryli, 1-2-ch retmanów i kilku zapasowych „fryców”^(III). Wszystkie koleje na postoje niedzielne i świąteczne zdążają pod miasta i większe osady nad rzeką.

Do r. 1908 kupcy sprowadzali partiami oryli z Galicji i ci wyłącznie trudnili się splawem, dobierając tutejszych w razie braku w partiach⁴. Lecz w owym roku, jakby na jakieś hasło, na różnych „bindugach” zebrały się tłumy miejscowych ludzi i Galicjan^(IV) nie dopuściły na tratwy. Odtąd orylami są przeważnie nadbrzeżni mieszkańcy rzek i odtąd pogardliwe „oryl” zrównoważyło się z określeniem „flis”. Nawet względnie zamożni gospodarze lub ich dorośli synowie idą dziś na „orylkę”, jeżeli ich jest kilku w domu.

Niektóre tratwy na Bugu mają ogromną przestrzeń do przebycia, a mianowicie, które zbijają się w pobliżu Kryłowa i Uściługa, niedaleko austriackiej granicy. Jednak z owych stron niewiele ich płynie. Więcej niż połowę tratw dostarczają 2 dopływy wschodnie – Muchawiec i Leśna, a resztę to różne lasy guberni lubelskiej, siedleckiej i grodzieńskiej, bliżej brzegów położone. Wobec tego i oryle to mieszanina różnych narzeczy, obyczajów i ubiorów. Retmani to zwykle Polacy (trafiają się jeszcze i Polacy z Galicji), więc komendę fachową, okrzyki i dyspozycje słyszy się tylko po polsku, bez względu na to, czy kolej jest obsadzona przez Rusinów, czy Polaków.

Rusini między sobą różnią się znacznie tak ubiorem, jak i w narzeczu. Przybyli Muchawcem i Leśną nie łączą się na postojach z mieszkańcami okolic Włodawy, Dubienki i Uściługa, którzy prawie wszyscy mówią dobrze i po polsku.

Między naszymi obok śpiewnej mowy nadbużaków z guberni siedleckiej i grodzieńskiej, i obok mowy mazurskiej, spotyka się czysty akcent wielkopolski. Bo na tratwy ironia losu, czy lekkomyślność rzuca ludzi różnych zawodów, z różnych miast lub fabryk Królestwa. Myliłby się jednak ten, kto by domyślał się różnych zajęć – krwawych awantur w zbiorowisku tak różnych ludzi. O nie! To nie miasto fabryczne. Dzisiejszy krajowy retman, to zwykle człowiek porządny, rozumiejący swoje stanowisko. Powiadomiony o zajściu, zjawia się natychmiast, energicznie, doraźnie karze najwinniejszego, nie dopuszczając wmieszania się policji, a w ostateczności oblicza i oddala. To też co rok, mniej widzi się pijaków, a bójki i sceny rynkowe na postojach, prawie że już ustały.

Znaczna część oryli choruje na oczy. Od blasku z góry chroni ich kapelusz, ale że nie od migotliwego blasku wody, to dostają olśnienia. Tacy już na godzinę przed zachodem słońca nie widzą – tylko czarne kręgi w tęczowych obwódkach. Leczą się parą z wątroby, za którą więcej płacą, jak za mięso, aby tylko dostać. Lekarstwa w aptekach naszych miasteczek nie ma na to.

A. T.

⁴ Autor ma zapewne na myśli splaw z górnego, ew. środkowego biegu Bugu i jego tamtejszych dopływów. W położonych w naszym regionie nadbużańskich miejscowościach, od stuleci wiele osób zajmowało się flisactwem lub uczyniło z tego zajęcia dodatkowe źródło dochodu [przyp. aut. opracowania].

- I. Cała sosna, oskrobana z wierzchniej kory, lecz nie do białości.
- II. Tratwę nazywa się i sama tafla, lecz tylko na drobniejszych dopływach, gdzie płyną w pojedynczych pasach.
- III. Frycami nazywają się ci, co pierwszy raz płyną.
- IV. Binduga nie jest przystanią, jak wielu mniema, lecz miejscem, dokąd zwożą przez zimę skrobanki, zwykle nad zatoką, gdzie woda jest spokojniejsza, bo tratwy zbija się na wodzie.

[Tygodniowe sprawozdanie sytuacyjne wojewody białostockiego nr 2 z dnia 20 września 1930 r., za czas od 14 do dnia 20 września 1930 r.]

Powiat ostrowski. Proboszcz parafii w Brańszczyku ks. Wacław Wacławski, jeden z najbardziej czynnie występujących przeciwko rządowi księży katolickich w powiecie ostrowskim, podczas kazania w dniu 14 bm. zwrócił się do parafian z wezwaniem, żeby „nie dali się uwieść agitatorom partii rządowej, którzy drogą obietnic i przekupstwa będą usiłowali, pozyskać głosy wyborców”.

Po tym wezwaniu ks. Wacławski oświadczył, że „partia rządowa w roku 1926 [przewrót majowy] rozpędziła armatami i karabinami maszynowymi prawowity rząd i ujęła w swe ręce władzę. W roku 1928 wydała na agitację wyborczą 8 milionów złotych, a gdy posłowie upomnieli się o rachunki z wydatkowanej sumy, rząd, nie mogąc ich przedłożyć, Sejm rozpędził. W dniu zaś 10 bm. tych posłów, co upomnieli się o rachunki, aresztował. Partia ta, gdyby porządziła jeszcze ze trzy lata, to wszyscy byśmy poszli z torbami”.